Święta Strasznych Dni

Bogusławska rzeka Ros. — Las bogusławski. Bogusławska stara bóżnica. — Babcia Gitł wraz z dziećmi składa ofiary. — W wigilię Sądnego Dnia dziadek błogosławi dzieci, a jego oczy są mokre od łez.

Trudno powiedzieć, gdzie było więcej uroków życia, więcej poezji: nad brzegiem rzeki Ros, w lesie bogusławskim, czy też w starej bóżnicy? Nie sposób ustalić, które z tych trzech miejsc stanowiło największą pokusę. Nad Rosem, to ci dopiero życie! Tam ci jest wesoło! Tam poją konie bałaguły. Tam woziwody nabierają wody do beczek. Tam pochylone nad wodą stoją mężatki i dziewczęta, odsłaniając czerwone łydki piorą bieliznę. Zaciekle obijają ją kijanką tak, że iskry lecą. Tam kąpią się, pluskają, uczą się pływać i łowią rybki chłopcy z całego miasta. Rozbierają się wśród kamieni, skaczą do wody i krzyczą. Zewsząd słychać: „Popatrz, jak pływam! Zobacz, jak leżą na plecach! Rzuć lepiej okiem na to, jak nurkuję!” Wszyscy tu mówią naraz, wszyscy pokazują sztuczki, wszyscy tu wszystko umieją. Sieroty w Perejsławiu szalenie im zazdroszczą. Jakiś chłopak podchodzi do nich. Jest nagi jak po urodzeniu. Wołają na niego Awrejmł. Czarny jak Tatar. Oczy wyłupiaste, twarz jak deska do krojenia makaronu, nosek jak fasola. Jak się nazywasz? Szołem. Pływać umiesz? Nie. To co stoisz? Chodź ze mną. Nauczę cię. Rozumiecie? Nauczy! A nie będzie uczył. Podobne słowa, a jaka różnica!

Nie mniej poezji jest w lesie. Las bogusławski obfituje w małe gruszki. Prawda, są kwaśne i twarde, ale przecież gruszki. I nic nie kosztują. Możesz sobie ich nabrać, ile dusza zapragnie. Bezpańskie. Trzeba ich tylko dosięgnąć. Gruszki leśne rosną bardzo wysoko. Trzeba wejść na drzewo i z całych sił potrząsnąć nim, inaczej gruszki nie spadną. Oprócz gruszek rosną też w lesie bogusławskim orzeszki. Zajęcze orzeszki. Późno dojrzewają i pokryte są jakąś dziwną łuską. Straszliwie gorzką. A jąder w nich nie ma. Będą dopiero później. Nie szkodzi jednak. Mimo wszystko przecież to orzeszki. Można nimi napełnić kieszenie. To co sam zrywasz, lepiej smakuje... A zrywać gruszki i strząsać orzeszki trzeba umieć. Abramek to umie. Abramek do wszystkiego zdatny. Zuch chłopak. Z natury bardzo dobry. O pogodnym usposobieniu. Żółci w nim za grosz. Jedną ma tylko wadę. Jest z domu biedaków. Matka, wdowa, pracuje jako kucharka u Jampolskich. O wszystkim dowiedział się wujek Ice i natychmiast doniósł babci Gitł.

W tajemnicy, na ucho. Więc babcia Gitł przywołała wnuczka do swego łóżka i obdarowała go, wyciągniętą spod poduszki, gruszką. Nakazała mu przy tym nie spotykać się więcej i nie podtrzymywać znajomości z takim chłopakiem jak Abramek. Parokrotnie ostrzegała go, że jeśli dziadek Mojsze-Jose dowie się o jego kontaktach z takimi chłopakami, to będzie piekło.

Im to łatwo powiedzieć „nie spotykać się". Z Abramkiem przecież musi spotykać się przynajmniej dwa razy na dzień: z rana i wieczorem. Przy odmawianiu Kadisz. Abramek też jest sierotą. Odmawia Kadisz po swym ojcu w starej bóżnicy. Ach, ileż tam odmawiających Kadisz. Wszyscy przy ścianie wschodniej. Mojsze-Jose, gdy przyszedł po raz pierwszy ze swoimi wnukami do starej bóżnicy, to przystąpił z nimi od razu do szamesa i ostrym tonem zażądał, aby wnuki otrzymały miejsce' do odmawiania Kadisz przy samej trybunie. Są — powiedział — dziećmi z dobrego domu. Szames, starzec z pochylonym grzbietem, o starczych, dotkniętych jaglicą oczach, sprawiających wrażenie, że są obmalowane dookoła czerwienią, wysłuchał tyrady dziadka z należytym szacunkiem. Nie wyrzekł słowa. Wciągnął nosem potężną porcję tabaki, szybko strząsnął jej pozostałości z palców i podsunął dziadkowi pudełko z tabaką. Parokrotnie uderzył w wieko i poczęstował dziadka, nie wyrzekłszy ani jednego słowa. Miało to oznaczać: „Dobrze, żeście mi powiedzieli, że są to dzieci z dobrego domu. Możecie być pewni, że będę o nie dbał jak o źrenicę oka. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości."

Stara bóżnica bogusławska miała w sobie taką siłę, że sieroty perejesławskie, jak je tam nazywano, przywiązały się do niej tak mocno, jakby tam się urodziły i wychowały. Wszystko im się wydawało w niej ogromne, piękne i święte. Na wszystkim widać było piętno starodawnego piękna, prawdziwej świetności. Coś ze Świątyni Pańskiej. Z Beit ha-Mikdasz.

A jeśli stara bóżnica bogusławska w dni powszednie miała w oczach sierot perejesławskich coś ze Świątyni Pańskiej, to w Straszne Dni przeobrażała się dla nich w prawdziwy Beit ha-Mikdasz. Nigdy jeszcze nie widziały tylu Żydów i nigdy nie słyszały takich modłów. Była to mieszanina wszystkich rodzajów chasydów, którzy z niezwykłą żarliwością i niesłychaną pasją, klaszcząc w dłonie i strzelając palcami, wznosili modły. Śpiewali dziwne jakieś melodie, mruczeli, bąkali pod nosem, wpadali w prawdziwą ekstazę, aby w kilka minut potem znowu powrócić do śpiewania, mruczenia i strzelania palcami. Dla perejesławskich sierot taki sposób modlenia się był czymś nowym. Był prawdziwym spektaklem teatralnym. Gwoździem jednak tego spektaklu były modły dziadka. Mojsze-Jose swoim sposobem modlenia się przyciągał wszystkich w starej bóżnicy. Nie był zwolennikiem i wyznawcą jakiegoś określonego rebego. Był z niego dziwny chasyd, który chadzał swoimi własnymi drogami, miał swoje zwyczaje i własne dziwactwa. Pozwalał sobie na przykład zostawać w bóżnicy w sobotę lub w jakieś święto, po skończonej modlitwie, gdy wszyscy już udali się do swoich domów. Wujek Ice, który mieszkał w drugim pokoju tego samego mieszkania, już siedział przy stole. Z pieca dochodził już zapach ryby faszerowanej i innych przysmaków świątecznych. Serce już ściskało się z głodu, a dziadek wciąż trwał w modlitwie i wciąż śpiewał mruczando, wciąż szeptał słowa. Babcia Gitł po cichu podsuwała

wnukom, dzieciom Chai-Ester, po kawałku ciasta, aby pokrzepić je. Mawiała przy tym z uśmiechem:

— Myślę, że zapamiętacie już na długo, skoro wpadliście do domu wariatów.

Wujek Ice zdążył tymczasem zjeść i odmówić błogosławieństwo. Wysunął głowę ze swojego pokoju i zapytał:

— Co, nie ma jeszcze gospodarza? Cha, cha! Nie dość, że już zjadł, to jeszcze sobie pokpiwa. Z trudem wytrzymaliśmy. Wreszcie Bóg ulitował się i dziadek zjawił się. Wleciał do pokoju, ciągnąc wierzchnie swoje okrycie rękawem po ziemi. Mocnym i donośnym głosem powitał wszystkich świątecznym pozdrowieniem i od razu wziął kieliszek, aby odprawić Kidusz. Słowa błogosławieństwa brzmiały tak donośnie, że cała ulica musiała je słyszeć.

— Ze względu na dzieci i w trosce o te nieszczęsne sieroty mógłbyś, wydaje mi się, zaniechać twoich zwariowanych sztuczek i skrócić ten cały ceremoniał — powiedziała mu z wyrzutem babcia. Na nic to się jednak nie zdało. Dziadek nawet nie usłyszał tego. Tkwił w ekstazie. Przebywał w innych, wyższych światach. Jedną ręką jadł, drugą wertował jakąś starą księgę i kiwając się lekko zaglądał do niej jednym okiem, zaś drugim spoglądał na wnuki i wzdychał. Mocno wzdychał. Wzdychał dziadek nad swoimi wnukami, nad tymi sierotami, których dusze tkwiły w materializmie, nad dziećmi, które mają w głowie tylko jadło i poddają się łatwo wewnętrznemu Instynktowi Zła, wraz z jego pokusami... Po obiedzie nie omieszkał im z tego powodu czynić wyrzutów. Obsypał je gęsto morałami. Uznał widocznie za wskazane, żeby im wyszło bokiem to całe jedzenie, ten biały kołacz, faszerowana ryba i słodki cymes, które babcia Gitł nie bacząc na to, że leżała sparaliżowana w łóżku i tylko dzięki swojemu sprytowi, zdołała przygotować.

Tak było w Rosz ha-Szana. W wigilię Jom Kipur było jeszcze piękniej. Wigilia Jom Kipur w Bogusławiu wyróżniała się u dziadka Mojsze-Josy dwoma ceremoniałami, które wywarły na sierotach szczególne wrażenie. Do pierwszej ceremonii należało składanie ofiar, które odbywało się w noc poprzedzającą wigilię Jom Kipur. W domu perejesławskim też składano ofiary, ale tu, w Bogusławiu miało to zupełnie innych charakter. Tu całą zbożną sprawę wzięła na swoje barki babcia Gitł. Przykuta paraliżem do łóżka zawołała do siebie całą gromadkę dzieci i każdemu wręczała należną ofiarę. Chłopcom po kogucie, a dziewczynkom po kurze. Otworzyła swój pokaźny modlitewnik i palcami wykrzywionymi od reumatyzmu wskazała na odpowiedni werset Bnej-AdamJ). Starsze dzieci odmawiały modlitwę samodzielnie a młodsze

dziewczynki powtarzały za nią słowo w słowo. Babcia wymawiała słowa głośno, dobitnie i z przyśpiewem: „Synowie Adama, mieszkańcy ciemności nieprzeniknionych, więźniowie biedy i żelaza". I płakała przy tym tak, jak się płacze po zmarłych. A gdy doszło do najmłodszej z sierot, dziewczynki zaledwie rocznej, babcia o mało nie zemdlała. Na widok zapłakanej babci młodsze dzieci również zaniosły się płaczem. Spostrzegłszy to starsze dzieci również rozpłakały się. Powstał lament nie do opisania. Tamtej soboty, gdy ich matka leżała przykryta czernią na podłodze, w jednej dziesiątej sieroty tyle nie płakały, co teraz.

Druga ceremonia odbywała się następnego dnia, w wigilię Jom-Kipur, zaraz po powrocie ze starej bóżnicy, gdzie dzieciarnia otrzymała od pierwszego gabego pełne kieszenie ciastek. Dziadek Mojsze-Jose jeszcze wcześniej nakazał dzieciom natychmiast po złożeniu ofiar, udać się raniutko na modły do bóżnicy, a potem natychmiast przyjść do niego po błogosławieństwo.

W przedziwnym nastroju i w arcydziwnym ubraniu był tego dnia dziadek Mojsze-Jose. Na starej postrzępionej kapocie atłasowej miał jakiś dziwny kontuszek z niesamowicie twardego i skrzypiącego materiału, którego dziś już nigdzie i za żadną cenę dostać nie sposób. Na głowie nosił sztrajmł o wielu końcach, a na szyi szeroki śnieżnobiały kołnierz o dwóch szpicach. Na kapocie miał pas szeroki, o długich zwisających frędzlach. Jego niesamowicie gęste brwi i przeogromne wąsy w tej chwili nie wyglądały tak groźnie jak zwykle. Na twarzy zaś malowała się jakaś łagodność skora do wybaczania i niezwykła jakaś przyjazność.

Podejdźcie dzieci, to was pobłogosławię. Gestem uroczystym i świątecznym zaprosił sieroty do swego ciasnego i ciemnego pokoju. Położył na głowę każdego z nich obydwie ręce, wystające z szerokich rękawów atłasowej kapoty i cichym głosem coś mówił. Mówił i mówił, wzdychając przy tym i stękając. A gdy skończył, sieroty spojrzały na jego twarz i zobaczyły, że oczy mu błyszczą, że są czerwone, że jego rzęsy są mokre, że wąsy są mokre i broda mokra. Wszystko mokre od łez.